

PIOTR LIPIŃSKI

GENIUSZ I ŚWINIE

rzecz o Jacku Karpińskim

Janka

Piotr Lipiński

GENIUSZ I ŚWINIE
rzecz o Jacku Karpińskim

JanKa
2014

Wydanie I
Pruszków 2014

ISBN 978-83-62247-31-8

Zdjęcie autora: Sławomir Kamiński

Fotografie zreprodukowane w książce w większości pochodzą ze zbiorów Jacka Karpińskiego i jego rodziny. Staraliśmy się ustalić ich autorstwo, jednak nie we wszystkich wypadkach z sukcesem. Uprzejmie prosimy zatem ewentualnych właścicieli praw o skontaktowanie się z wydawnictwem.

Igorowi

PROLOG

– Gdyby Amerykanie skazali na śmierć cywilną Billa Gatesa, byłoby to równie absurdalne jak to, co zrobiono z Jackiem Karpińskim w Polsce – uważa redaktor naczelny czasopisma informatycznego „CRN", Adrian Markowski. I nie może wyjść z podziwu: – Zbudowany przez Karpińskiego komputer wykonywał milion operacji na sekundę – więcej niż pecety dziesięć lat później!

– Komputery Karpińskiego miałyby większą szansę na produkcję, gdyby konstruktor należał do partii.

To opinia Józefa Tejchmy, w owych latach wicepremiera polskiego rządu, ministra, członka Biura Politycznego i Komitetu Centralnego PZPR.

– To był geniusz.

Co do tego nie ma wątpliwości Diana Wierzbicka, współpracowniczka Karpińskiego. I dodaje:

– Geniusz, który miał wizję tego, co tworzy, a innymi sprawami w ogóle się nie interesował.

Być geniuszem w PRL to jednak za mało. Należało jeszcze polubić świnie.

*

Najpierw był cud. Rano na śniadanie Jacek Karpiński zjadł biały ser z miodem. To był jego codzienny rytuał od dziesiątków lat. Kuchnię wypełnił zapach kawy instant marago, popijanej z wielkiego kubka. Mieszkanie w Warszawie rozbrzmiewało muzyką jego ulubieńca,

Bacha. Znał ją na pamięć. Po komputerach to muzyka była jego drugą pasją. Do filharmonii chodził regularnie, wykupił abonament.

Jacek dostrzegał podobieństwa w komponowaniu muzyki i budowaniu cyfrowych mózgów. Uważał, że komputery to dzieła sztuki, podobnie jak pisane dla nich programy. Konstruktorzy i programiści to artyści, którzy tworzą piękne, niepowtarzalne dzieła.

Każdą swoją maszynę budował najpierw w głowie, podczas spacerów w lesie, jazdy na rowerze i tego, co uważał za najprzyjemniejsze: górskiej wspinaczki. Wierzył w siłę podświadomości, w której mimowolnie łączą się ze sobą pomysły i skojarzenia.

Ostatnie miesiące to była mordercza praca. Mawiał, że skoro dziecko potrzebuje tylko dziewięciu miesięcy, aby przyjść na świat, to komputer nie powinien rodzić się dłużej.

Pracujący z nim konstruktorzy przesiadywali w zakładzie po dziesięć, dwanaście godzin. Przez ostatnie trzy dni przed uruchomieniem nowej maszyny w ogóle nie wychodzili do domu.

Jacek Karpiński przeszedł do głównego pokoju i włączył telewizor. Polskę zalewała propaganda sukcesu. Pokazywano migawki z ostatnich podróży Edwarda Gierka, który przejął władzę po siermiężnym Gomułce. Wraz z nowym pierwszym sekretarzem partii pojawiła się nadzieja, że ludzie wreszcie zaczną żyć lepiej. Że rządzący Polską komuniści bardziej zajmą się codziennymi potrzebami Polaków niż narzucaną przez Związek Radziecki ideologią.

Choć Jacek Karpiński – i prawie nikt z zespołu – nie należał do partii, to wszyscy uwierzyli, że przed Polską pojawiła się szansa na zmiany. Sami przecież pracowali nad komputerem, który zapowiadał się jako jedna z najlepszych maszyn na świecie. Kiedy wraca wiara, ludzie odzyskują radość życia, nawet w komunizmie.

Edward Gierek od kilku miesięcy jeździł po kraju i mobilizował Polaków. W styczniu 1971 roku po raz pierwszy rzucił swój słynny propagandowy slogan. Na zebraniu z aktywem partyjnym Trójmiasta, kończąc przemówienie dotyczące przyszłości kraju, zapytał:

– To jak, towarzysze, pomożecie?

Sala odpowiedziała:

– Pomożemy, pomożemy!

Jacek Karpiński zajrzał do gazety – opisywano przygotowania do Targów Poznańskich, najbardziej znanej w Polsce ekspozycji przemysłu. Pokazywano tam wszystko: obrabiarki, glebogryzarki, maszyny do szycia. A wśród nich – komputery. Na wystawie po raz pierwszy miała się znaleźć przełomowa konstrukcja Karpińskiego, komputer K-202.

Zbudował go w kilkunastoosobowym zespole. Zapamiętał fantastyczną atmosferę pracy. Komputerowcy nie liczyli na duże pieniądze. W PRL rzadko kto wyróżniał się zarobkami. Ale budowa elektronicznego mózgu to zajęcie tak pasjonujące, jakby spełniały się marzenia o największym bogactwie i egzotycznych podróżach.

To była romantyczna wyprawa w nieznane. Rodacy oglądali w Polskiej Kronice Filmowej olbrzymie, wypełniające cały pokój rodzime komputery marki Odra. Tymczasem Karpiński wymyślił maszynę wielkości średniej walizki. Opowieść o niej brzmiała jak bajka. Uwierzyć w nią mogli tylko konstruktorzy wybijający się ponad krajową średnią. Koncepcja była tak wyrafinowana, że większość informatyków w ogóle jej nie rozumiała.

Ale prawdę mówiąc, jeszcze gorzej mieli ci, którzy ją pojęli i zamierzali wcielić w życie: wyobraźnia zderzyła się z bezradnością socjalistycznego przemysłu. Już przy poprzednim komputerze Karpińskiego, słynnym KAR-65, konstruktorzy większość oprzyrządowania robili sami. Polski przemysł elektroniczny nie radził sobie z nietypowymi zleceniami. Pracownicy Jacka zamawiali więc elementy w najbardziej zaskakujących miejscach. Blaszki stykowe, razem z kielichami mszalnymi, złocił Veritas. Obwody drukowane trawił prywatny fotograf-portrecista.

Współpracownicy widzieli w Karpińskim nie tylko geniusza, ale też wizjonera. Niedawno zaproszono go do telewizyjnego programu „Zza kulis elektroniki". Prowadzący w rogowych okularach zapytał:

– Szał mikrominiaturyzacji ogarnął elektroników. Czego zwykły, przeciętny śmiertelnik może spodziewać się od mikroelektroniki w przyszłości?

Jacek Karpiński odpowiedział z przekonaniem:

– Warto od razu uwzględnić rozwój cywilizacji. Ludzkość na

wynalezienie koła potrzebowała tysięcy lat, na wprowadzenie maszyny parowej – kilkudziesięciu, a na wprowadzenie komputerów będzie trzeba dwudziestu. A nie wiadomo, jak szybki nastąpi postęp za lat dziesięć. W każdym razie musimy jak najszybciej myśleć o tym, ażeby przyspieszyć nasz rozwój i gonić światową czołówkę.

Wyglądało na to, że jego K-202 nie tylko dołączył do światowej czołówki, ale nawet zostawił ją w tyle.

Po śniadaniu Jacek Karpiński wsiadł do swojego forda capri i ruszył do Poznania. Uwielbiał ostrą jazdę. Startował w wyścigach, kiedyś wygrał nawet Monte Calvaria, zimowy rajd w okolicach Warszawy. Jechał wtedy triumphem heraldem. Ale cenzura wycięła jego nazwisko. Dostał puchar, w prasie jeszcze następnego dnia można było przeczytać, że zwyciężył. Ale już po tygodniu z publikacji związku motorowego wynikało, że kto inny zajął pierwsze miejsce.

Dziś jednak nie obawiał się urzędników z ulicy Mysiej, gdzie mieścił się urząd cenzorski. Karpiński był właśnie u szczytu powodzenia. Na szczęście zrozumiał to dopiero po latach. Kiedy kariera sięga zenitu, nie zdajemy sobie sprawy, że to właśnie ten moment. I dobrze, bo na szczycie powodzenia dopadałaby nas depresyjna myśl, że niczego lepszego w życiu już nie doświadczymy.

Jacek po drodze do Poznania podśpiewywał piosenki. Czasami, dla żartu, sam je komponował. Miał w domu klawesyn, kiedyś kupił mikrofon, żeby je nagrywać. Muzykował jednak nie z nut, ale ze słuchu, z pamięci. Kolejne akordy, synkopy i pauzy wypełniały jego życie.

I wówczas właśnie, na Targach Poznańskich w 1971 roku, zdarzył się lokalny świecki cud. Przy komputerze K-202, zaprojektowanym przez Jacka Karpińskiego, zatrzymał się sam Edward Gierek, ówcześnie panujący Pierwszy Sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Towarzyszył mu tylko nieco mniej wybitny przedstawiciel władzy w osobie premiera Piotra Jaroszewicza. Za nimi, w pełnym powagi i szacunku odstępie, sunął dwór złożony z partyjnych potakiwaczy, urzędniczych halabardników i telewizyjnych służek.

Dostojnie przystanęli przy komputerze.

– Ekspozycja była wspaniała – wspominał ten dzień Jacek Karpiński. – Prototyp pokazaliśmy pod hasłem, że jest to minikomputer uniwersalny, nadający się do sterowania różnymi automatami i przemysłowymi urządzeniami. Pierwszy Sekretarz Edward Gierek wraz ze świtą całego rządu, z premierem Jaroszewiczem i wszystkim ministrami, zatrzymał się przy naszym stoisku i rozmawiał ze mną przez piętnaście minut! Co odnotowano we wszystkich annałach! Że towarzysz Pierwszy Sekretarz poświęcił piętnaście minut na rozmowę z panem Karpińskim!

Przywódca partii i narodu, jak pisano wówczas o Gierku, pogratulował, a pod koniec zapytał, czy Karpiński rzeczywiście doprowadzi do produkcji urządzenia. Jacek odpowiedział z uśmiechem na twarzy:

– A pomożecie?

Towarzysz sekretarz wyczuł żart i podchwycił:

– O tak, pomożemy, pomożemy!

Ten kwadrans mógł odmienić dzieje polskiej informatyki. Jacek Karpiński skonstruował jeden z najlepszych na świecie komputerów. Przez chwilę mieliśmy szansę na polską Dolinę Krzemową.

KSIĘŻYCOWA KONSTRUKCJA

„Człowiek, który nie chciał, aby ktokolwiek deptał mu po głowie, dlatego wybierał sobie mieszkanie na najwyższym piętrze". Tak Roman Bratny opisywał bohatera powieści „Lot ku ziemi". Pierwowzorem tej postaci był Jacek Karpiński. „Tym, co zadecydowało o wszystkim na zawsze, była jego obsesja: brać udział, być".

Myśli Jacka Karpińskiego zawsze pędziły do przodu. Zanim skończył jakąś maszynę, rozwijał w głowie pomysł na następną. Fascynowało go to, co jeszcze może zrobić, a nie to, co już działało.

Historia jego najlepszego i najbardziej znanego komputera – K-202 – zaczęła się pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Jacek Karpiński właśnie kończył sporych rozmiarów maszynę nazwaną KAR-65, kiedy wpadł na szalony w owych czasach pomysł. Wymyślił komputer, który mógłby zmieścić się w walizce. Wizja wydawała się niedorzeczna – ówczesne maszyny zajmowały całe ściany w laboratoriach. Tymczasem Karpińskiemu przyszło do głowy urządzenie, którego wielkość można by dziś porównać do leżącego na biurku peceta.

Pomysł miał jednak szansę powodzenia, bo na rynku pojawiły się właśnie układy scalone. Mieściły jeszcze niewiele obwodów, cechowały się tak zwaną małą skalą integracji. Ale i tak w porównaniu z tranzystorami stanowiły olbrzymi postęp. To, co do tej pory zajmowało płytkę o rozmiarze połowy kartki A-4, teraz wchodziło do kostki o wymiarach dwadzieścia na sześć milimetrów.

W elektronice – inaczej niż w życiu – mniejsze zawsze znaczyło lepsze.

*

Rano Jacek Karpiński pobiegł do profesora Jerzego Pniewskiego, szefa Instytutu Fizyki Doświadczalnej; tu pracował na etacie, tu powstawała jego poprzednia konstrukcja, KAR-65.

– Chciałbym zbudować nową, jeszcze lepszą maszynę! – powiedział z entuzjazmem.

Tym razem profesor był sceptyczny.

– Panie Jacku – powiedział – my nie jesteśmy instytutem komputerów, tylko fizyki. Badamy atomy, a nie produkujemy maszyny. Zrobiliśmy KAR-65, ale na kolejną konstrukcję nie mogę się zgodzić. Z tym pomysłem trzeba iść do przemysłu.

Jacek Karpiński popędził z projektem do znajomego pułkownika, któremu pomysł szalenie się spodobał. Inżynier nie czuł zakłopotania, że próbuje zainteresować wojsko.

– Wyszedłem z założenia, że armia potrzebuje takiego urządzenia – tłumaczył. – A z punktu widzenia obywatela Polski jest to nieszkodliwe, ponieważ taki komputer nie służy ani do tajnych misji, ani do strzelania rakietami. On się po prostu do tego nie nadaje. Wszystkie zaawansowane rozwiązania, ważne dla obronności kraju, Rosjanie zwyczajnie kradli od Amerykanów. Nie czułem więc dyskomfortu, że mój komputer będzie służył w wojsku.

Armia przyznała, że bardzo chętnie korzystałaby z takiego urządzenia. Pod warunkiem, że ktoś je wcześniej wyprodukuje. Typowo wojskowe podejście, całkiem jak z ludźmi. Siły zbrojne zawsze chętnie mobilizowały to, co kto inny powołał do życia.

Karpiński nie poddawał się. Po rodzicach odziedziczył entuzjazm i upór w dążeniu do celu. Pobiegł do Zjednoczenia Mera. Trafił na dyrektora Jerzego Huka. Ten również uznał projekt za ciekawy. Nastąpił przełom – skończyło się niechętne wzruszanie ramionami. Ktoś wreszcie postanowił przyjrzeć się projektowi.

Huk, jak na prawdziwego urzędnika przystało, do gruntownego zbadania wynalazku powołał komisję. I wówczas rozsypał się domek z kart, który mozolnie wznosił Karpiński. Porównanie z kartami jest o tyle trafne, że na tym etapie wszystko odbywało się

na papierze. W urzędowych pismach, podaniach, odpowiedziach, opiniach.

– Komisja po dłuższym badaniu wydała opinię, że mój pomysł to księżycowa konstrukcja – wspomina Jacek Karpiński. – Że założenia są jakieś dziwne, że nie da się tego zrobić. Najważniejsza konkluzja komisji brzmiała: gdyby zbudowanie takiej maszyny było możliwe, Amerykanie już dawno by to zrobili. Z takim argumentem trudno było rzeczowo dyskutować.

Mera uznała sprawę za zamkniętą. Miała przecież opinię na papierze z pieczątką: to się nie uda. Urzędowy wyrok oznaczał, że w Polsce nikt więcej nie będzie zaprzątał sobie głowy tym dziwacznym pomysłem.

Projekt okładki:
Anna M. Koźbiel

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-31-8

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl



Takiego komputera nie ma! – krzyczał towarzysz Werewka, kiedy ▲
ktoś wspomniał o K-202. Materiały reklamowe producenta.

Komputery i kobiety – dwie miłości Jacka Karpińskiego. Ulotka reklamowa. ▼

